



**FRAGMENT**

*Novus ordo*  
*wydanie specjalne*

*Pan B. i Klarysa R.*

# *Novus ordo*

*wydanie specjalne  
(fragment)*

Kalisz 2020

*Twoja  
Odskokcznia*



*Twoja Odskokcznia*

Wszelkie prawa do tego fragmentu są zastrzeżone.  
Zabrania się zmieniania, kopiowania i rozpowszechniania treści książki  
bez zgody autora oraz wydawnictwa.  
Za złamanie tego prawa grozi odpowiedzialność karna.

Autor: Pan B. i Klarysa R.  
Tytuł: *Novus ordo (wydanie specjalne) (fragment)*  
Projekt okładki: Bruno Marciniak-Rivera  
Zdjęcie na okładce: @enginakyurt  
Projekt stron tytułowych: Klarysa Ratmajer  
Redakcja i korekta: Klarysa Ratmajer, T.M.

Wydanie 1

ISBN książki, z której pochodzi fragment 978-83-956955-1-3

***Twoja Odkocznia***  
[twoja.odskocznia@gmail.com](mailto:twoja.odskocznia@gmail.com)  
[www.twoja-odskocznia.blogspot.com](http://www.twoja-odskocznia.blogspot.com)  
[www.twoja-odskocznia.pl](http://www.twoja-odskocznia.pl)

## Prolog

### *Documento unus*

#### *Katerina BraveWinner*

Siadam w obrotowym, skórzanym fotelu. Głęboko. Opieram się wygodnie. Otacza mnie stos porzrzuconych kartek. Otwarte segregatory leżą na dużym, biurowym blacie. Nie czuję się dobrze. Dziwnie mnie mdli. Odczuwam lekkie zawroty głowy. Nic wielkiego, normalny stan.

Przykładając dłoń do wyraźnie zaakrabowanego brzucha, zastanawiam się, czy moje dolegliwości są na pewno typowo ciążowe. W końcu, kiedy wpadłam do gabinetu męża w celu znalezienia czegoś... czegokolwiek, co mogłoby okazać się ratunkiem, nawet marnym, nie było mi ani trochę niedobrze. Napędzał mnie strach. Nie dotyczył mojej osoby, a przynajmniej nie w znacznej mierze. Ja już swoje przeżyłam. Nawet za wiele widziałam. Dziś boję się już tylko o los dzieci. Martwi mnie ich przyszłość. Właściwie zawsze martwiła. To było takie zmartwienie priorytetowe – dotyka każdą matkę. I kiedyś wydawało mi się, że nigdy nie będzie już większe, niż w dniu, w którym urodziłam swojego pierworodnego.

Samuel przyszedł na świat na polsko-niemieckiej granicy. Miało to miejsce w czasie, którego dziś nawet nie potrafię nazwać. Ponoć zawsze miałam dobrą pamięć, ale od ponad trzydziestu lat liczę inaczej lata. Nie te swoje, nie te męża, nie te mych dzieci. W *Novus ordo* jedynie te lata, które należą do świata, odlicza się za pomocą alfabetu. Po łacinie. Pierwsze „A” miało miejsce w dniu urodzenia najstarszego z założycieli tego nowego imperium. Nie znałam gościa. I nie żałuję braku tej znajomości.

Słyszę, jak ktoś otwiera drzwi. Odwracam się w tamtym kierunku. Siwiejący blondyn przechodzi środkiem gabinetu, zważając przy tym na to, by nie podeptać porzrzuconych papierów. Otwiera okno. Do zaduszonego, śmierdzącego dymem papierosowym pomieszczenia, wpada świeże powietrze. Zaraz po tym pojawia się

też światło. Ciężkie zasłony, sięgające samej podłogi, które samodzielnie uszyłam, zostają rozsunięte.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

W pierwszej chwili mu nie odpowiadam. Na swój własny sposób go nie lubię. Za wiele mam mu za złe. Za dużo dotknęło mnie z jego winy.

– Katerino? – wygłasza w pytający sposób moje imię.

Mam ochotę go poprawić. Zdaje mi się, że nigdy nie byliśmy z sobą na „ty”. Choć może byliśmy, tylko jakoś tak umknął mi ten szczegół. Zresztą, jakie dziś znaczenie mają takie szczegóły?

– Nie – odpowiadam.

– Coś z dzieckiem? – dopytuje i wyraźnie jest zmartwiony taką ewentualnością. Podchodzi do mnie. Przykuca.

– Nie. – Kręcę głową. – Myślę, że z nim w porządku. O ile w ogóle coś jeszcze może być w porządku – dopowiadam.

Sięgam po dokument, który wcześniej położyłam na biurku. Podstawiam go blondynowi pod sam nos. Niemal zmuszam go do tego, by przeczytał.

– Póki nie ma ciała ani prochów, nie ma trupa – wygłaszam. – Nie ma śmierci. Ten świat nie godzi się na żadne domniemanie – przypominam jedną z głównych zasad, pośród których przyszło mi żyć.

– A co, gdy Bruce wróci? – Blondyn wstaje z kucek. Kręci głową. Wydaje się zmartwiony. Tym razem nie wiem o kogo. Poprzednim był o dziecko, to pewne. Teraz może jego zmartwienie dotyczy mojego męża.

– Sam to napisał – ogłaszam bez przekonania, odrzucając dokument na blat. Patrzę na ten kawałek zapisanego papieru z jawną pogardą. Nie ma we mnie dumy i poczucia zwycięstwa, choć może powinny te odczucia we mnie tkwić i właśnie teraz wychodzić na światło dzienne.

– Chcesz... – zaczyna, po czym kręci głową. Wdycha. – Jeśli nie wróci... jeśli umarł... – wyraźnie nie wie, jak ma ubierać przy mnie myśli w słowa.

– Bezpośrednio – oświadczam, chcąc mu ułatwić.

– Jesteś kobietą – wyznaje w sposób, jakby wątpił, iż sama posiadam taką

wiedzę o własnej płci.

Zaśmiewam się, choć może powinnam płakać. Przez chwilę nawet czuję w oczach łzy, ale nie pozwalam sobie na taki wybuch emocji.

– Powiedz wprost, do czego zmierzasz – zachęcam, z ledwością opanowując się i powracając do poprzedniej powagi.

– Nie wiem, co będzie gorsze – stwierdza. – Możesz skorzystać z... tego. – Wskazuje dłonią na dokument. – Jednak jeśli Bruce wróci, twoje działania, a nawet samo skorzystanie z prawa, które ci dał, będą miały na niego wpływ.

– Wierzysz, że Bruce żyje – podłapuję między słowami.

– Ty też – oznajmia. – Nie nosisz żałoby, a nawet po jego samej nieobecności powinnaś – wytyka.

Mężczyźni są w takich wytknięciach naprawdę dobrzy. Czasami, nawet gdy nie chcą, potrafią powiedzieć coś, co kobietę dotknie. Ze mną jednak żadnemu się nie uda. Uodporniłam się.

Co do jednego jednak ten konkretny mężczyzna ma rację – nie noszę żałoby. Mam na sobie bladuróżową sukienkę, z firankowaną falbanką przy rękawach. Zakończoną w podobny sposób przy samych kostkach.

– Powinnam? – pytam. – Bo taki świat czy takie masz zdanie? – tłumaczę w ten sposób, co dokładnie mam na myśli i na co tak naprawdę oczekuję odpowiedzi.

– Bruce BraveWinner był... może nadal jest... dobrym człowiekiem.

– A więc mu się należy, bym chadzała w czerni bądź granacie? – drwię. – Nie masz pojęcia, jak było między nami.

– Zakładam, że nienajgorzej. – Spojrzenie przerzuca z mojej twarzy na dokument, który pozostawił po sobie mój mąż.

– Był... – zaczynam. – Jest... – zmieniam i chwilę ważę słowa. I przez moment nawet mi żal, że za pierwszym razem mogłam mieć rację. Całkiem możliwe, że Bruce'a już nie ma. Otwieram usta i znowu je zamykam. I na powrót otwieram. – Bruce to intelektualista – oświadczam. – Czego spodziewałaś się po wojennym strategu? – drwię.

– Docenił cię – zauważa. – Jednak jeśli pokażesz ten dokument wszystkim, możesz go pograć – wyraźnie nawołuje w ten sposób do mojego rozsądku. – To był nie tylko dobry intelektualista. Wiele mu zawdzięczasz. Jeśli on żyje, możesz skazać go wystąpieniem.

– Zawdzięczam mu życie Samuela – wdycham. – Dał mi szansę, bym była matką swojego pierwszego dziecka – wyjaśniam. – I skazał na ostatnie, wbrew mojej woli – dopowiadam i nawet nie czuję smutku. Minęło pół roku. Wystarczająco, bym mogła się pogodzić z tym, co się zdarzyło.

– Zgwałcił cię? – wypytuje bez żadnej delikatności blondyn.

– A mamy w ogóle takie słowo w słowniku? – dziwię się. Nawet lekko uśmiecham. – Bruce był dobrym człowiekiem – stwierdzam. – Ja też byłam dobrym człowiekiem – dodaję. – Nikt nie rodzi się złym. Stajemy się tacy. Świat, który nas otacza, takimi nas tworzy – wygłaszam swój pogląd i zabieram dokument z biurka. Zwijam go na cztery. Wstaję z fotela.

– Może jeszcze warto to przemyśleć? – stara się mnie powstrzymać. – Masz ich sześciu – przypomina. – Właściwie już siedmioro – poprawia, spoglądając przy tym znacząco na mój brzuch.

– Samuel i Simon są już dorośli. Bliźnięta prawie też – szepczę niepewnie, bo faktycznie Steven i Selena mają jedynie trzynaście lat.

– I zajmą się młodszymi? – nie daje za wygraną. I przez chwilę nawet mogłabym się połudzić, że chodzi mu o moje przeżycie i wyjście cało z tego... tego wszystkiego, od czego zdaniem wielu, zdaniem niemal wszystkich, powinnam trzymać się z dala.

– Ty się nimi zajmiesz – oznajmiam wprost, z całą świadomością i pewnością podczas wypowiedzania tych słów.

– Ja?! – dziwi się. Nieznacznie unosi.

– Tak – potwierdzam. – Jesteś mi to winny. Nie zajmowałaś się mną – przypominam, po czym wymijam go i po prostu wychodzę. Drzwi gabinetu pozostawiam otwarte. Mam zamiar nakazać służącej, by tam posprzątała.

Zmierzając do kuchni, zastanawiam się, kiedy zdarzył się początek. Jakim

cudem znalazłam się dzisiaj właśnie tu, w tym miejscu, na takim stanowisku? Kto zawinił lub co zawiniło? A może nie ma winnych? Może są tylko bohaterowie?



## Rozdział 1

### *Primogenitum*

#### *Katerina BraveWinner*

Zerkam na drewnianego konia na biegunach. Jest zwyczajny. Trochę niekształtny. Uroczy. Przez lata wielokrotnie zmieniał kolor. Niegdyś był biały. Przez chwilę czarny. Raz nawet różowy. Dziś jest błękitny.

Ten koń był pierwszym prezentem, jaki Bruce ofiarował Samuelowi. Samuel miał wtedy niespełna rok i nawet nie miał imienia na „S”. Mój pierworodny syn urodził się w szpitalu, wzniesionym na granicy między Niemcami a Polską. Ja miałam wtedy czternaście lat, jedną walizkę z niedużą ilością ubrań i drogi płaszcz, który był prezentem od jednego z klientów. W kieszeni płaszcza mieściło się cztery euro. Byłam przerażona i nie wiedziałam co robić dalej i wtedy, wraz z pielęgniarką, zjawił się żołnierz *Novus ordo*. I nie był nim Bruce. Ten na imię miał Dominik.

Dominik był wtedy młody, zmęczony, dobrze zbudowany. Miał nieco ponad dwadzieścia lat. Jego włosy były jasne, ale zdawały się wypłowiałe, jakby zakurzone lub dłuższy czas niemyte.

– To chłopiec? – zapytał po polsku, jakby zdawał sobie sprawę z mojej narodowości. Możliwe, że odczytał ją z karty szpitalnej, która przywieszona była do mojego łóżka. Od lat nikt już nie przejmował się prywatnością. A słynne RODO zostało oddelegowane do lamusa.

– Tak – odpowiedziałam, zupełnie nieświadoma czego ode mnie może chcieć ten człowiek.

– Możemy zabrać dziecko do lepszego świata, jeśli wyrazisz zgodę – zaproponował. Wypowiedział to w taki sposób, jakby był pewnym mojej zgody, a ostatnie słowa dodał do tej wypowiedzi jedynie dla zachowania sztucznej przyzwoitości. Wsunął pistolet do kabury i wyczekiwał.

Spojrzałam na Samuela, wtedy jeszcze nienazwanego i powoli, bez żadnej

stanowczości i jakiegokolwiek pewności, pokręciłam głową.

– Zastanów się – zachęcał. – Jakie życie czeka go tutaj? – dopytywał. – Żadne – sam sobie odpowiadał. – Przecież nawet nie wiesz, kto jest jego ojcem – wyraźnie drwił.

– Wiem – zaoponowałam mocno. Czułam ból i to nie tylko fizyczny, jak ten krocza czy nabrzmiałych piersi, ale wewnętrzny. Przede wszystkim wewnętrzny.

– Dobrze – przytaknął. – Masz czas. Będziesz tu jeszcze dwa dni – ogłosił i dalej stał. Wpatrywał się w mój, pozostawiony na krześle, płaszcz. – Mógłbym go od ciebie odkupić – zaproponował. – Dla matki – dodał. – Nie było nas w domu na święta – dopowiedział z dziwnym smutkiem w szarych oczach, jakby miał ochotę komuś się zwierzyć.

– Sentymentalne bzdury! – zabrzmiał nagle niski, męski głos i przy boku Dominika zjawił się młody tak bardzo, że niemal nieletni brunet. Jego ciemne oczy były zmęczone, jedno z nich podbite, a łuk brwiowy rozcięty w aż dwóch miejscach, na co wskazywały pozakładane na niego klamry. – Widzę, werbujesz nam armię – zauważył, spoglądając na moje dziecko. Zarzucił Dominikowi rękę na ramię i poklepał w przyjacielskim geście po klatce piersiowej.

– Ja przynajmniej coś robię – odburknął z oburzeniem blondyn.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. – Co my byśmy bez ciebie zrobili, pracocholiku? – zaśmiewał się dalej. Był chyba jedyną osobą, jaką spotkałam na swojej drodze od dłuższego czasu, która w ogóle miała ochotę się śmiać, żartować, mówić totalne pierdoły. – Jaka waga? – zapytał i wskazał na mnie podbródkiem. Ten, w przeciwieństwie do swojego kolegi, zwracał się do mnie po niemiecku. Zresztą, mówiąc do samego Dominika, także czynił to po niemiecku.

– Nieważna – szepnęła Dominik, przystosowując się do bruneta i przedstawiając na jego język. – Nie odda go. Przynajmniej nie dziś – wyjaśnił.

– Jak to nie odda? – zdziwił się i ostatni raz klepnął kumpla w pierś, a potem od niego odbił. – Ale że tak nigdy? – dziwił się dalej.

– Nigdy! – wtrąciłam. – Nie zasili waszych oddziałów! Nie zrobię z niego mordercy! – wykrzyczałam.

– Wolisz zrobić z niego kolejną pizdę, jakich pełno na jeszcze waszych ziemiach? – zapytał po polsku, podkreślając słowa *jeszcze waszych*. – Chyba tak się u was mówi – zauważył, wyraźnie samemu nie mając pewności co do posługiwania się poprawną polszczyzną.

– Lepiej zrobić z niego kogoś takiego niż kogoś takiego jak ty. Nie miałabym nawet ochoty na ciebie splunąć! – wykrzyczałam i zamknęłam oczy w oczekiwaniu na ból, zauważając, że mężczyzna bierze szeroki zamach. Przycisnęłam dziecko mocniej do piersi i złapałam je pewniej, by pod wpływem nagle zadanego ciosu, nie wypuścić malca z rąk.

– Bruce! – krzyknął Dominik i powstrzymał go przed wymierzeniem mi policzka. – Dopiero urodziła. Nie czas na to – wyjaśnił, jednocześnie starając się go uspokoić. – Przepraszamy, kolega jest porywczy – dorzucił w moją stronę, uśmiechając się. W tamtym okresie brakowało mu jednego, przedniego zęba.

Po pewnym czasie, liczącym lat kilka, Dominik miał wszystkie zęby, a ja zostałam żoną Bruce'a. Samuel stał się tym, kim wtedy nie chciałam, by był, bo choć nie został żołnierzem i odbył jedynie roczną, przymusową służbę wojskową, to bycie prawnikiem w *Novus ordo*, wcale, te dwadzieścia siedem lat wcześniej, nie wydawało mi się być prawym zajęciem.

Pewnie właśnie w tej chwili wszyscy zastanawiacie się jak drogi moja i Bruce'a ponownie się splotły. To nie był przypadek. Usłyszałam, gdzie go odsyłają, kiedy zegnał się z przyjacielem, właśnie z Dominikiem. Myślę, że obu im było przykro, choć tylko Dominik płakał. Wtedy zdawali mi się być sobie bliscy jak bracia. Do dziś są sobie jak bracia, ale tacy najprawdziwsi, nie tacy, jacy zdarzali się w moim poprzednim świecie. Tu brat za brata skacze w ogień, nie zastanawiając się, czy warto. Tu rodzina, przyjaźń, wierność i lojalność to wartości mające najwyższe znaczenie.

Bruce był w szpitalu, w którym urodziłam, bo sam mocno oberwał podczas bitwy, a szpital ten, założony przez jakąś fundację, której nazwy już dzisiaj nawet nie pamiętam, miał na celu leczyć wszystkich i wszystkim pomagać w powrocie do zdrowia, niezależnie od koloru skóry, wyznania czy narodowości.

Bruce zajmował pokój na parterze. Nie był umierający. Jedyne obserwowali go pod kątem wystąpienia wstrząśnienia mózgu. Wystarczał mu więc fotel, on nie potrzebował łóżka. Poszłam do niego pewnej nocy. To była noc poprzedzająca przyjście nowego roku.

– Jak się czujesz, żołnierzu? – zapytałam, stukając w futrynę.

Weszłam głębiej, nim w ogóle ktokolwiek z nich mnie zaprosił. W tym pokoju znajdowało się ich aż pięciu. Dwóch wyraźnie zdrowiało, grali w karty. Trzeci miał obie nogi w gipsie. A czwarty znajdował się w stanie agonii. Bruce zmieniał mu kompresy na czole i kostkach, by choć odrobinę ulżyć mu w cierpieniu.

– Bywało lepiej – odpowiedział, jakby wiedział, że moje słowa zostały skierowane właśnie do niego. I dopiero wtedy zauważyłam, że lekko kuśtyka. Dostrzegłam to, kiedy zaczął do mnie podchodzić. Miał na sobie bawełnianą, czarną koszulkę na długi rękaw, opinającą ciało tak bardzo, że aż podkreślającą muskulaturę torsu. – Jak dziecko? – zapytał, ale na mojego syna nawet nie spojrział. Brodą wskazał drzwi, sugerując, że powinniśmy wyjść.

– Mówią, że będzie zdrowy – odpowiedziałam, bo w tamtym okresie niejedno dziecko umierało.

Kobiety były niedożywione, zdarzało się, że brutalnie traktowane i zaharowujące się na śmierć. Jeśli były ciężarne, to tylko cudem dzieci rodziły się żywe i zdrowe, ale Samuel, wtedy Andree, nie był cudem. Ja w pracy, nawet gdy dowiedziano się, że jestem w ciąży, nie byłam traktowana źle. Przestałam tylko sypiać z klientami, a zaczęłam zmywać i przygotowywać posiłki. Czasami prac i zmieniać pościel. Po porodzie i oddaniu dziecka zawsze mogłabym tam wrócić. Problemem jednak było to, że nie potrafiłam go oddać.

Poszłam we wskazanym przez Bruce'a kierunku, a on zamknął za nami drzwi. Staliśmy na obskurnym, szpitalnym korytarzu.

– To chyba dobrze. Silny mężczyzna potrzebny jest w każdym domu – stwierdził. – Co cię do mnie sprowadza? Zdecydowałaś się jednak go oddać? – dopytywał.

Szybko i energicznie pokręciłam głową.

– Jutro jedziesz, prawda? – Spojrzałam w jego twarz, a kąciki jego ust nieco uniosły się ku górze.

– A więc nie tylko język, ale i uszy powinnaś stracić – stwierdził.

– Słucham? – nie rozumiałam.

– Nieważne. – Przymknął oczy i pokręcił głową. – Co mój wyjazd ma wspólnego z tobą i dzieckiem? – starał się samodzielnie domyślić, jaki mam pomysł.

– Mógłbyś mnie podwieźć – rzekłam cicho, prosząco.

Zaśmiał się.

– Ja? – zdziwił się jawnie.

– Muszę wrócić do matki, a nie mam na bilet – przyznałam ze wstydem. – I tak jedziesz w moim kierunku – wyraźnie nalegałam. To był moment, w którym nie mogłam sobie pozwolić na jakąkolwiek dumę.

Bruce wsparł się ramieniem na brudnej ścianie, w kilku miejscach pokrytej zaschlą krwią i splótł ręce na piersi.

– Nie wydaje ci się, że jesteśmy naturalnymi wrogami? – dopytywał, mrużąc przy tym oczy.

– A jednak jesteśmy tutaj i rozmawiamy, nie skacząc sobie do gardeł – zauważyłam.

Pokiwał głową i wykrzywił usta. Nie uśmiechał się, raczej teatralnie dziwił.

– Cholera. To nawet ma sensu.

– Bardzo kaleczysz język – stwierdziłam. – Mówisz trochę po niemiecku, a trochę po polsku. Po obu równie niewyraźnie. Jakiej narodowości jesteś? – zagałam.

– *Novus ordo* – odpowiedział z wyższością.

– A wcześniej? Po jakimu mówisz płynnie? – zainteresowałam się.

– Po łacinie.

– Łaciny nie znam – przyznałam. – Po jakimu mówiłeś wcześniej? Musiałeś mieć styczność z innym językiem. Każdy miał – naciskałam.

– Ty z wieloma. Taka rola kurwy, nie? – zapytał po włosku.

– A więc Włoch? – zapytałam po niemiecku.

– Możliwe – syknął przez zaciśnięte zęby, poruszając przy tym samymi ustami. – Dziś to już prawie nie ma znaczenia. Za kilka lat nie będzie miało w ogóle żadnego. Narodowość będzie jedna, języki góra dwa – odpowiedział, używając przy tym kilku różnych języków. Pierwsze zdanie wypowiedział po włosku, drugie po angielsku, trzecie po hiszpańsku, a czwarte po rosyjsku. Jednak tak naprawdę tylko po włosku mówił wyraźnie i sprawnie.

– Nie mówię po włosku – przyznałam – ale rozumiem wszystko – pochwaliłam się. – Mów po włosku. Będzie ci wygodnie – zaproponowałam.

– Zależy ci na mojej wygodzie? – nie dowierzał.

– Zależy mi, byś mnie podwiózł – wypaliłam z całkowitą szczerością.

– A mnie interesuje, co ja będę z tego miał? – wypowiedział takim tonem, że przeszedł mnie najprawdziwszy dreszcz.

– A co chcesz? – zapytałam. – Twój kolega chciał płaszcz. Możesz go dostać. Dać matce – zachęcałam, jednocześnie przytulając Andre'a mocniej do swojej odsłoniętej, ssanej przez niego piersi, jakbym czuła, że to właśnie jego może zachcieć żołnierz *Novus ordo*.

– Uuu – wymruczał i pokręcił głową. – Myślę, że nie będzie w jej guście.

– Może będzie w guście żony – podpowiadałam, mając świadomość, że w *Novus ordo* ludzie bardzo wcześnie zakładają rodziny, ale Bruce w odpowiedzi pokazał swoją lewą dłoń. Na serdecznym palcu nie było obrączki.

– I oby pozostało tak jak najdłużej – zażyczył samemu sobie.

– Nie lubisz kobiet?

– Oczywiście, że nie – przyznał. – Ty też nie lubisz mężczyzn – stwierdził. – To dopiero naturalna wrogość. Z tym że bitwy bywają ciekawsze, nie? – zażartował, ale w pewny, nieco zbyt poważny sposób. Podrapał kciukiem kącik ust. Jego ciemny zarost był niewielki i bardzo niechlujny, ale nawet on nie był w stanie dodać mu lat. Bruce wyglądał jak szesnastolatek. – Zamierzam być kawalerem najdłużej jak to tylko możliwe – wyjaśnił.

– Do kiedy to u was możliwe? Macie obowiązek zakładać rodziny, prawda? –

drażylałam, tak naprawdę o *Novus ordo* znając jedynie plotki, przekazywane z ust do ust lub jakieś *newsy* z popularnych gazet oraz internetu.

Przytaknął.

– Zazwyczaj do dwudziestego siódmego roku życia – odpowiedział. – Jeśli chodzi o mężczyzn – dodał.

– A jeśli chodzi o kobiety? – dopytywałam.

– Do dwudziestego.

– Od? – zarzucałam go pytaniami dalej.

– Czternastego, ale zazwyczaj to szesnaście, siedemnaście lat.

– Wcześniej – zauważyłam.

– Wcześniej? – zdziwił się. – U was czternastolatki bez męża rodzą dzieci. To jest dopiero wcześniej – skrytykował.

– Nie ocenij mnie – niemal się oburzyłam. – Nie znasz mojej historii – dodałam smutno.

– I nie chcę jej poznawać, zapewniam.

Ja jednak, pomimo tego, co powiedział, postanowiłam mu opowiedzieć coś o sobie. Może chciałam go wziąć na litość. Może zdecydowałam się w skale szukać wciąż bijącego serca.

– Kilka dni temu były święta – zaczęłam. – Nie widziałam matki rok – wyznałam.

– Mnie nie ma na święta trzeci raz z rzędu – odbił piłeczkę, wygrywając ten spór.

– Trzeci z rzędu? – nie dowierzałam. – Ile miałeś lat trzy lata temu? – zaciekawiłam się.

– Siedemnaście – odpowiedział, teraz już wiem, że zgodnie z prawdą, ale wtedy ciężko mi było w to uwierzyć. Bruce nie wyglądał na dwadzieścia lat. – Gdy przywdziałem mundur, miałem trzynaście – opowiedział, nieco się zamyślając. I przez jego twarz przemknął cień czegoś, co można było uznać za namiastkę smutku.

– Byłeś chłopcem – zauważyłam. – Dzieckiem – dodałam, chcąc nie wierzyć

w jego słowa. Wtedy zastanawiałam się, ile osób zabił. Miałam pewność, że wiele. Był żołnierzem *Novus ordo*, a tacy nie należeli do pacyfistów.

– Mężczyzną – poprawił. – To u was są nawet trzydziestoletni chłopcy – wyśmiał.

– Uważasz się za lepszego, bo masz karabin?! – uniosłam się.

– Mam coś więcej niż karabin – ściszył głos. – Mam zasady moralne – powiedział. – I całkiem duże jaja – szepnęła, zbliżając swoją twarz do mojej, bym mogła go dobrze usłyszeć.

– Sugerujesz, że mam sprawdzić ich wielkość, a wtedy mnie podwieszysz? – zgadywałam.

– To ty powiedziałaś, ale skoro już zaproponowałaś, to... – urwał. Uśmiechnął się w łobuzerski, bezczelny sposób.

– To najpierw mnie podwieszysz, a potem będziesz miał godzinę. Zrobisz ze mną, co zechcesz – zaproponowałam, mając cichą nadzieję, że na to przystanie.

Wyciągnął rękę przed siebie.

– Więc umowa? – zapytał.

– Umowa – poparłam go i pierwszy raz dotknęłam kogoś z *Novus ordo*. Nie przeszedł mnie prąd. Nie było motyli w brzuchu. Zabrakło jednak też obrzydzenia. Bruce nie wywoływał we mnie odruchu wymiotnego. Był nawet przystojny, niezwykle młody, stateczny w mowie, nawet gdy za daleko się w niej posuwał.

– Masz go w co odziać? – zainteresował się, zerkając na Andre'a, owiniętego jedynie białym, nieco już przemoczonym prześcieradłem. W szpitalu brakowało wszystkiego, od pieluch po bandaże.

Pokręciłam głową.

– Palisz? – pytał dalej, a ja zupełnie nie wiedziałam, po co mu ta wiedza na mój temat.

– Nie powinnam, ale...

– Rozumiem – uciął. – Zaczekaj moment – polecił i wszedł do swojej sali. Wyszedł z niej z czarną koszulką w dłoni i paczką papierosów. – Możesz go jakoś



owinąć. Będzie mu cieplej – zaproponował, kładąc rzecz bezpośrednio na moim dziecku. – I zanim podziękujesz, to nie moje. To jego. – Wskazał dłonią na żołnierza w agonii, wcześniej lekko uchylając drzwi. Zamknął je po krótkiej chwili. – Jak rozumiesz ani jedno, ani drugie, już mu się nie przyda – wyjaśnił, kładąc na moim synu jeszcze paczkę papierosów.

Wtedy, kiedy umówiliśmy się, że Bruce podwiezie mnie za seks, myślałam, że nigdy więcej nie spotkam go na swojej drodze. Mieliśmy spędzić z sobą jedynie kilka, możliwe, jeżeli byłyby korki, że kilkanaście godzin w samochodzie, a następnie godzinę w łóżku. I koniec. Stało się inaczej. Trafialiśmy na siebie wyjątkowo często. Przychodził do klubu, w którym zatrudniłam się jako tancerka *go-go*. Rozbierał mnie z ciała. Sięgał duszy. Pożerał wzrokiem.

Z rozmyśleń wrywa mnie dźwięk dzwonka. Niekomórkowego. Takich telefonów w *Novus ordo* nie ma. Nie ma też w domach komputerów i internetu. Niewielu posiada telewizor. Taki sprzęt jest drogi, a do niego trzeba dokupić jeszcze odtwarzacz i filmy. Taniej wychodzi wybrać się od czasu do czasu do kina. Choć mój mąż chyba woli teatr. Częściej zabierał mnie do teatru.

Podchodzę do okna, a następnie do drzwi. Widząc mężczyznę z dużą, kartonową paczką, decyduję się wyjść na zewnątrz. Mijam wiosenny, kwiecisty ogród i dwie murowane fontanny do złudzenia podobne do siebie. Otwieram furtkę i witam się z *servusem*. *Servus* to u nas taki rodzaj lokaja. Ma za zadanie pilnować domu podczas nieobecności męża. Ten konkretny, ten pracujący u nas, zwykle oddalał się do swoich obowiązków rodzinnych, kiedy Bruce wracał z pracy, przez co nieraz zastanawiałam się, czy faktycznie ma mi pomagać i mnie wyręczać, czy za zadanie ma jedynie być okiem i uchem w domu pana, i bardziej ma mnie pilnować, niżeli robić za odźwiernego bądź tragarza. W końcu przestałam się nad tym głowić bo uznałam, że oszaleję, jeśli w kółko będę podejrzewała męża o śledzenie każdego jednego mojego kroku.

Dziś mam dwóch lokajów. Pracują na dwie zmiany. Jednak na żadnego z nich już nie spoglądam tak wrogo. Nawykłam do ich obecności. Pomagamy sobie nawzajem. Oni robią cięższe zakupy, ja ofiarowuję im owoce i warzywa, których

mam aż nadmiar na tyłach domu. Czasami wykonam jakieś zabawki na szydełku, by mogli zanieść je swoim dzieciom.

– Proszę – zwracam się do Marcela i ustępuję na bok, by mógł bez problemu mnie wyminąć i wnieść duży karton do domu.

– Dziękuję, pani – odpowiada grzecznie. – Jak się pani dzisiaj miewa? – dopytuje zwyczajnym tonem, niesugerującym w żaden, nawet najmniejszy sposób, mojego przygnębienia.

– Lepiej niż wczoraj – wyznaję. – Zaczynam się godzić, z tym że nie wróci – oznajmiam, nawiązując do tego, że Bruce na obczyźnie jest już ponad pół roku. To niemal dokładnie tyle samo ile ja jestem w ciąży. Właściwie to dlatego nie chciałam mu się oddać. Nie chciałam, by wyjeżdżał.

Marcel odkłada karton na duży, drewniany, odmalowany na biało stół kuchenny. *Ancillia*, czyli inaczej służąca, zabiera się za jego rozpakowywanie. Przesypuje z papierowych torebek mąki, cukry i makarony do odpowiednich słoików i blaszanych pojemników. W świecie *Novus ordo* nie ma prawie wcale plastiku. Wyeliminowano go dla dobra ludzkości, środowiska, przyrody.

Marcel oddała się do swoich obowiązków, choć nie wiem dokładnie, co zamierza robić. Domyślam się, że musiał mu coś zlecić, któryś z moich dwóch starszych synów. A ja w tym czasie przysiadam na krześle. Bawię się papierem, niezwykle ważnym dokumentem, który pozostawił po sobie mój mąż. Składam go i rozkładam, zwijam na dwoje i czworo, a przed moimi oczami staje mi jedna z rozmów z matką. To miało miejsce dwadzieścia sześć lat temu, dzień przed świętami Bożego Narodzenia. Nasz przedpokój i jej pokój pełne były paczek. Szare kartony z logiem „NO” stały dosłownie wszędzie. Samuel poruszał się pomiędzy nimi. Podpierał się o nie, stawiając pierwsze kroki.

– Co to? – zapytała, gdy tylko powróciła z pracy.

To był trudny czas. Praca dosłownie leżała na ulicy, ale za nią można było zrobić bardzo niewiele. Polski rząd postąpił tak jak zwykle, gdy brakowało mu pieniędzy. Zabrał je obywatelom.

Trwała wojna. Po ulicach chodzili żołnierze. I nasi, i ci z *Novus ordo*. I może i

oni potrafili z sobą normalnie rozmawiać, i strzelaniny zdarzały się naprawdę rzadko, i zwykle nie pomiędzy nimi, a w napadach na sklepy czy podczas uciszania zamieszek, strajków, protestów. Jednak tych żołnierzy trzeba było opłacać. Nałożono więc podatek. Dużo podatków. Każdy ładnie opisano. Doszło do tego, że ludziom zabierano trzy czwarte marnej pensji.

Ja, mama i Samuel nie głodowaliśmy, ale my naprawdę dużo odmawialiśmy sobie, by Samuelowi, wtedy nazywanego Andree, niczego nie brakowało. Mleko modyfikowane, gdy miał pół roku, sięgnęło takiej ceny, że trzy opakowania były równowartości pensji mojej matki. O wędlinie można było pomarzyć. Szarzy ludzie nie mieli do niej dostępu. Strach było chodzić na zakupy, bo można było coś kupić, wyjść ze sklepu i zostać napadniętym, i to nie przez wojska *Novus ordo*. Oni nie posuwali się do takich czynów. I jeszcze zanim do Polski wjechali, Polskę jej własny rząd powoli zabijał. Wojna z *Nowym porządkiem* jedynie wszystko przyspieszyła. Jednak, gdyby nie *Novus ordo* Polacy w końcu pozabijaliby się nawzajem. Inne narody tak samo. Motywacją jednych byłby chleb, innych wędlina, a jeszcze innych porsche – w zależności od bogactwa danego kraju.

W tamten dzień, gdy matka zobaczyła w naszym domu kartony ze słodyczami, kawami, cukrem, puszkami pełnymi konserw, ryżem, makaronem, warzywami, owocami i wszystkim, o czym w tamte dni można było tylko pomarzyć, najpierw pojawił się w jej oczach szok. Później ogarnęła ją radość. Na koniec zobaczyłam w nich strach.

– Dlaczego przychodzą do nas paczki z *Novus ordo*? – zapytała, przeciskając się, by móc usiąść na łóżku i rozsznurować zimowe buty.

– Bo nam przysługują – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, otwierając chrupki kukurydziane i wręczając jedną synkowi. Następnie zabrałam się za rozpakowywanie reszty kartonów i upychanie wszystkiego z jakimś większym sensem, by później nie musieć tego szukać.

– Jak to nam przysługują? – dziwiła się dalej moja rodzicielka.

– Jesteśmy na liście! – odkrzykiwałam z kuchni, organizując miejsce w

lodówce tak, by zmieściło się w niej wszystko, to co musiało się w niej znaleźć. Nie była duża, więc nie było to łatwe.

– Czyjej liście!?! – nie dawała za wygraną. Przyszła za mną aż do kuchni. Wsparła się plecami o ścianę, a ręce splotła na piersi. Oczekiwała odpowiedzi.

– BraveWinnera – wyznałam. W końcu i tak, by się dowiedziała. Nie mogłam przed nią tego wiecznie ukrywać.

– Bruna?

– Bruce'a – poprawiłam. – Ale może być Bruno, jemu obojętne – dodałam, uśmiechnęłam się przez ramię i wstałam z kucek, zamykając lodówkę jednocześnie. Czarny kot płątał się pod moimi nogami. On także się cieszył. Jeszcze przed sekundą wcinał konserwę prosto z puszki.

– Prosiłaś go o to? – brzmiała, jakby już miała mnie oskarżyć. Moja matka nie lubiła litości. Nie chciała, by ktoś jej współczuł i pomagał.

Pokręciłam głową.

– Sam mnie wpisał – oznajmiłam.

– Jako kogo?! – uniosła się.

– Jako swoją narzeczoną – odpowiedziałam. – Choć jeszcze nie przyjąłem zaręczyn – dodałam szybko.

– Przyjmiesz? – nie dowierzała. Pobladła. Wyglądała dosłownie tak, jakby zaraz miała się osunąć na ziemię.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. – szepnęłam. Przełknęłam ślinę. – Przyjdzie wieczorem – uprzedziłam ją.

– Po odpowiedź?

Ponownie pokręciłam głową. Wzruszyłam ramionami.

– Myślę, że po coś więcej, mamo. I cholernie się boję – powiedziałam, jednocześnie starając się powstrzymać łzy. Wiedziałam, jak w *Novus ordo* traktuje się kobiety. Plotki o tym krążyły po ulicach. Prostyutki, pracujące w klubie, w którym tańczyłam, każdego dnia modliły się, by tylko żaden żołnierz nie zawitał w te skromne progi. A ja wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak to jest. Nie

sypialiśmy z sobą, a wtedy, gdy mnie, wraz z noworodkiem, podwiózł do domu, do matki, nie wziął ode mnie nic, poza płaszczem i czterema euro, które znajdowały się w kieszeni.

– Mogłaś mu odmówić. Mogłaś tego nie przyjmować – rzucała złotymi radami moja rodzicielka, ale one w tamtym czasie nawet złamanego grosza nie były warte.

– Właśnie o to chodzi, że nie mogłam – niemal wysylabizowałam. – Oni zwyciężą. Pomyślałaś, co wtedy z nami będzie? Co stanie się z Andre'em?

– Dzieci nie zabijają – przypomniała.

– I chuj mnie to obchodzi! – wrzasnęłam. – Nie chcę, by wychowywał się beze mnie! Ja jestem jego matką. Gdybym wiedziała, że taki ma być finał, oddałabym go jemu już w szpitalu.

– Nie mówiłaś, że znasz go aż tak długo – zdziwiła się. Możliwe, że nawet mi to wypomniała.

– Znam – warknęłam. – I z nim mam szansę – uświadamiałam jej to, co sama wcześniej zauważyłam. – Andree zostanie przy mnie, tylko jeśli ja zostanę żoną Bruce'a BraveWinera – powiedziałam, opierając się o ścianę. Miałam ochotę nie tylko zamknąć oczy, ale i schować twarz w dłoniach. Miałam piętnaście lat, gdy podjęłam tak dorosłą, bez wątplenia interesowną, decyzję. A matka mi na to pozwoliła. Nie powstrzymała mnie. Wiedziała, że sama nie zdoła mnie ocalić ani nawet wnuka ochronić.

– Mały będzie spał ze mną. Mogę się nim zająć – zaproponowała wtedy. – Będziecie sami – dodała, wychodząc z kuchni.